



Joanna Duda-Gwiazda

część I z II

Sygnatura notacji: **N1459**

Data urodzenia: **11.10.1939 r.**

Data nagrania: **22.06.2020 r.**

Miejsce nagrania: **studio nagrań Radia Gdańsk, Gdańsk, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Marzena Bakowska**

Czas nagrania: **część I: 49 min, część II: 55 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Nazywam się Joanna Duda-Gwiazda, urodziłam się w Krzemieńcu, to teraz jest Ukraina, ale to były Kresy, bardzo ważne miasto, 11 października 1939 roku, czyli już po rozpoczęciu wojny, można powiedzieć. Co jeszcze pani potrzebne?

Z jakiej rodziny pani pochodzi, o jakich tradycjach?

Moi rodzice to teraz by można ich zakwalifikować do tak zwanej inteligencji pracującej, czyli nie mieli dworku szlacheckiego, tato ukończył Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie w dziedzinie, wtedy były takie dosyć obszerne te dziedziny, to znaczy to była generalnie rzecz biorąc przyroda; mama skończyła seminarium nauczycielskie. To było bardzo popularne wykształcenie, wszystkie moje ciocie i wujki ze strony mamy, oni kończyli seminarium, dlatego że przed wojną ogólniak był płatny, a seminarium ze względu na to, że był brak nauczycieli było bezpłatne, więc biedniejsze rodziny po prostu wysyłały dzieci do seminarium. Jakie to były rodziny? No myślę, że normalne, porządne, polskie rodziny, nic takiego szczególnie nie mogę chyba o nich powiedzieć

Czym zajmowała się pani 1980 roku? Gdzie pani pracowała?

Więc w sierpniu '80 ja byłam jedyną [osobą], ja wtedy pracowałam w Centrum Techniki Okrętowej i byłam jedyną osobą, która wyrzucona z pracy za Wolne Związki Zawodowe wygrała w Sądzie Pracy, bo generalnie wszyscy przegrywali, to niezależnie od tego, jak się bronili i jak się tłumaczyli. No, mnie się udało wygrać i dzięki temu byłam przywrócona do pracy w Centrum Techniki Okrętowej, i dzięki temu na przykład ja mogłam wejść do tych władz

Związku, a koledzy, którzy byli bezrobotni, a to wielu było, bo po wyrzuceniu z pracy nie mogli już, prawda, się nigdzie zatrudnić, to właściwie nawet jeśli bardzo sprzyjali WZZ-om to raczej zostawali, no bo to był jednak związek zawodowy, prawda, to zostawali albo drukarzami albo jakoś tam nas wspierali. Wydaje mi się, że Leszek Zborowski do tych należy między innymi. Właściwie wszyscy nasi drukarze to byli działacze Wolnych Związków Zawodowych, którzy w momencie wybuchu strajku byli bezrobotni. Ja pracowałam w CTO, no więc tyle komuniści mieli satysfakcji, że nie przywrócili mnie do działu projektowania siłowni, z którego wyleciałam, tylko do jakiegoś takiego strasznie nudnego, jakiś taki urzędniczy bardziej wydział - tam trzeba było jakieś indeksy robić, wprowadzać jakieś dane. Ja nie bardzo się dobrze w tym spisywałam i pamiętam, że jak już wygraliśmy ten strajk to poszłam do dyrektora i mówię: „Panie dyrektorze, już w końcu wygrałam na tyle, że mogę wrócić do maszyn i siłowni”, no i tam przywrócono mnie do tych maszyn i siłowni. No to chyba odpowiedziałam na pytanie?

Tak. Jak wyglądało pani zaangażowanie w to takie środowisko niepodległościowe przed Sierpniem - chodzi oczywiście głównie o WZZ-y, ale być może jeszcze gdzieś wcześniej pani miała takie kontakty, które gdzieś w pani zbudowały tego ducha walki o niepodległość?

Wie pani, mnie się wydaje, że ponieważ jestem inżynierem, prawda, i pracowałam w przemyśle, to muszę powiedzieć, że na przykład nie jest zauważana, nie jest doceniana walka o to, żeby polska technika była niezależna od Związku Radzieckiego, i to były bardzo ważne sprawy. Na przykład ja zajmowałam się między innymi bezpieczeństwem statków, to znaczy przepisami o bezpieczeństwie, i wtedy próbowano nam narzucić przepisy Morskiego Rejestru Statków, a Polski Rejestr Statków opracowywał swoje, i pamiętam, że mi się udało namówić wszystkich kolegów, którzy pracowali w tej dziedzinie, żebyśmy po prostu odrzucili te przepisy Morskiego Rejestru, oczywiście na pewno tam trochę ze względów patriotycznych, ale głównie dlatego, że naszym zdaniem one były złe, one były niebezpieczne, i przyjęliśmy jako taki wzór dla polskich statków przepisy Towarzystwa Norweskiego, Det Norske Veritas, bo wydawały się nam najlepsze. No to był taki pewien sukces w tym momencie.

Wróćmy do WZZ-ów w takim razie. Jak to się stało, że pani wraz z mężem w zasadzie można powiedzieć powołali te związki zawodowe do działalności? Jak nastąpił ten pierwszy moment w ogóle spotkania się z ludźmi z opozycji? Proszę pani, no więc w ogóle nam się zdarzyła dosyć dziwaczna historia, mianowicie zupełnie nie wiem, czy mój mąż o tym opowiadał, ale myśmy nieoczekiwanie zupełnie dostali paszporty, żeby wyjechać do Hiszpanii. No to było coś zdumiewającego, i to w taki dosyć dziwny sposób, bo jak się okazało, że w ogóle paszporty są dostępne, no to napisaliśmy podania o paszporty. Był trochę kłopot, trzeba było mieć, nie pamiętam, 130 dolarów na osobę, i to nawet niezależnie od tego, że te dolary były potwornie drogie na czarnym rynku, to jeszcze trzeba było je mieć jakby spoza Polski, albo przywiezione z zagranicy, jako zarobek czy coś takiego, no to tu uratowała nas moja siostra, która mieszkała w Australii i przysłała tę odpowiednią sumę. No więc dołączyliśmy to zaświadczenie, że mamy te dolary, jeszcze koledzy w pracy mówią: „Co ty, jak składacie podanie, nie macie dzieci, małżeństwo wyjeżdża, to oni będą podejrzewali, że będziecie chcieli uciec, zostać tam, to może ty złóż w Nowym Sączu”. Ja mówię: „No wiesz, bezpieka wie, kto my jesteśmy, w tym sensie, że nie jest trudno zgadnąć, że jesteśmy małżeństwem, więc tu nie ma w ogóle żadnego sensu”. Jeszcze spięliśmy to wszystko jednym, przypięliśmy te pieniądze, bo siostrze nie przyszło do głowy, że jak mnie przysłała to nie jest dla mojego męża również, więc przypięliśmy ten kwitek do tych

dwóch podań spinaczem. Jeszcze pamiętam taką rozmowę z tą panią, ona mówi: „No jak to, ale...”, ja mówię: „No jesteśmy małżeństwem, to chyba to wystarczy?”, ona mówi: „Ale to nie, to...”. Ja mówię: „No proszę pani, w Hiszpanii się nie rozwiedzimy, bo to jest kraj katolicki, nikt tam nam rozwodu nie da [śmiech], a jakby to powiedzieć, separacja od stołu i łoża jest niemożliwa, ponieważ jedziemy z jednym namiotem [śmiech] i ze śpiworami, garnkami i kuchenką, więc nie będziemy nieśli dwóch”. No tak się wygłupiałam trochę, no ale oni po prostu nie chcieli nam chyba dać tych paszportów. Wtedy Wydział Paszportowy był na ulicy, to chyba są Nowe Ogrody w tej chwili tam, a my mieszkaliśmy w Oliwie, i przynajmniej raz w tygodniu jechaliśmy przez całe miasto, żeby zobaczyć, takie wywieszali dwie kolumny nazwisk: odmowy i przyznane paszporty. Trudno to było odczytać, ale nie było nas ani tu, ani tam. I w końcu czas zleciał, w góry z namiotem to jednak trzeba iść kiedy jest długi dzień, ten dzień coraz krótszy, już nawet w polskich górach będzie trudno, więc gdzieś tak w połowie sierpnia poszliśmy tam i mówimy tej pani naczelnik, że: „Wycofujemy, już się nie fatygujcie, wycofujemy nasze podania. Nie wyjeżdżamy”. „Jak to nie wyjeżdżacie?”. Ja mówię: „No nie, no już za krótki dzień. Do widzenia”. „A nie, to jakaś pomyłka, nieporozumienie”. Pobiegła do szafy, wyciągnęła stamtąd takie dwie teczki, takie potężne - no już tyle widocznie nagrabili na nas jakichś papierów nieprawdopodobnych - i ona mówi: „Ja zaraz to wszystko wyjaśnię, tylko pobiegnę do naczelnika”. Pobiegła piętro wyżej, wraca i mówi: „Proszę państwa, to nieporozumienie było. Odbieracie jutro paszporty”. Ja mówię: „No jutro to nie odbieramy na pewno, bo jest sobota. Ona mówi: „Nie szkodzi, nie szkodzi. Tu będzie żołnierz stał, powiecie nazwisko to on was wpuści, i na pierwszym piętrze u naczelnika będą czekały paszporty”. Czegoś takiego się nie spodziewaliśmy, to było tak naprawdę zupełnie zdumiewające. Myśmy tam weszli, żołnierz zasalutował: „Państwo Gwiazdowie, proszę bardzo”, my idziemy na górę, poczekał pan naczelnik, mamy paszporty, no więc szybciotko, tylko jak najszybciej bilet do Madrytu lotniczy, bo to była jedyna szansa, żeby zapłacić w złotówkach. Pamiętam kosztował 20 000 tam i z powrotem, to już były wszystkie pieniądze, jakie mieliśmy po prostu uruchomione na ten bilet, no ale kupiliśmy te bilety, poleciliśmy. No i po miesiącu wracamy, tych dolarów, które mieliśmy, tośmy w ogóle prawie nie wydali, bo w tych górach nie było gdzie ich wydać, wracamy do domu i nie mieliśmy wtedy kupione, jeszcze w pudle było, radio Meluzyna, to kolega gdzieś tam miał podobno, do łapówki dał w dwóch miejscach, w dwóch miejscach zadziałało i mówi: „Ratujcie, kupcie jedno”. Myśmy już musieli pożyczyć od rodziców Andrzeja pieniądze na tę Meluzynę, no ale przyjechaliśmy do domu, stoi pudło, zdjęliśmy plecaki [śmiech], otworzyliśmy to radio, wyjęliśmy, no i pierwsza rzecz: szukamy tej Wolnej Europy zakazanej. Trzeszczy wszystko okropnie, no ale w końcu dowiadujemy się, że powstał Komitet Obrony Robotników, i pamiętam, ponieważ to trudno się regulowało, chcieliśmy zapisać jakikolwiek adres i zapisaliśmy adres Haliny Mikołajskiej, bo to jakoś to na M, to już tam udawało się to złapać, no i pierwsza myśl: trzeba ten KOR wesprzeć jakoś, prawda? Więc wystaliśmy jej 5 000 złotych, bo uważaliśmy, to było wtedy dużo dosyć, ale uważaliśmy, że mniej nie wypada, a potem Halina mówiła, że to był ostatni przekaz, który nie został zarekwirowany przez jakiegoś tam komornika, ale jeszcze KOR wtedy to dostał, natomiast jak posłyszeliśmy takie wezwanie KOR-u, że tutaj wszyscy, prawda, mówią, że to jest oderwana od ludzi pracy jakaś grupka, jakichś tam rozrabiaczy, no to myśmy stwierdzili, że trzeba KOR poprzeć i napisaliśmy list w obronie KOR-u, i ja myślę, że myśmy tam umieścili jedno zdanie, które rozwścieczyło bezpiekę, dlatego że napisaliśmy, że po prostu dla nas świadków tutaj Grudnia '70 to nie ulega wątpliwości, bo myśmy wiedzieli, co tutaj władza potrafi robić, jak tłumić, prawda, protesty robotników, to nie ulega wątpliwości, że KOR mówi prawdę, i ja sądzę, że to ich chyba musiało, to wspomnienie tego Grudnia '70 [rozwścieczyć], bo Grudzień '70 to była ta masakra, która wtedy miała miejsce głównie w Gdyni, prawda, to było coś takiego, to od tej pory tego Grudnia '70 to już był taki podział „my” i „oni”, prawda? No bo się

polata krew, bo było dużo ofiar, a w Grudniu '70 to mój mąż osobiście palił komin [śmiech], i to rzeczywiście chyba duży był jego udział. Ja w tym nie brałam udziału, bo miałam grypę, leżałam w domu, a potem jak nadjechały czołgi to on te czołgi wiedział, jak unieszkodliwiać, tak że mój mąż wykazał się wtedy takimi, że tak powiem, umiejętnościami bojowymi. Ja już przeszłam do Grudnia '70, ale był jeszcze wcześniej, no to był sześćdziesiąty ósmy rok, prawda? No to w sześćdziesiątym ósmym to Andrzej był asystentem na politechnice, ja pracowałam w CTO... nie, nie w CTO, to chyba była jeszcze Stocznia Gdańska, tak. No i też pamiętam, jak to wszystko wyglądało, jak w dużej hali Stoczni Gdańskiej urządzono taki wiec popierający władzę, popierający partię [śmiech] i na tym pozwożono ludzi z różnych stoczni, na tę halę, na tę wielką salę, i pamiętam, że tam ktoś wtedy, o dziwo z mojego okna w mojej pracowni myśmy tę halę widzieli, i tam jakiś facet się zerwał i krzyczał: „Precz z żydokomuną!”, bo mu się hasła pomyliły [śmiech], no ale tak to organizowane było to masowe poparcie rzekomo dla Partii. Co jeszcze w tym sześćdziesiątym ósmym? Aha, w sześćdziesiątym ósmym, no to tutaj były dosyć ostre walki uliczne, to pamiętam, a ja wtedy chodziłam do Andrzeja na obiady, bo on jadał, znaczy pracował na politechnice i tam w Bratniaku były zupełnie niezłe obiady, też dla mnie wykupił. To pamiętam, że tak trochę sobie pomyślałam, że Andrzej już się zdążył gdzieś zasłużyć, dlatego że jak się wchodziło to studenci pilnowali, żeby tam jacyś prowokatorzy się nie dostali na teren politechniki, ale jak ja podeszłam do tej bramki to [mówią]: „A, to wpuscicie, to jest żona tego w kozuchu”, bo Andrzej chodził w kozuchu przez cały boży rok. No więc sobie myślę: to już Andrzej jest na oku, ale w tym sześćdziesiątym ósmym to, co zapamiętałam jako coś takiego bardzo groźnego, myśmy wyszli z Bratniaka z tego obiadu i szliśmy ulicą Morską - nie wiem, jak ona się teraz nazywa, Do Studzienki chyba - i szliśmy...

Hibnera to była Do Studzienki.

A, Hibnera, tak. I szliśmy tą ulicą do Grunwaldzkiej i nagle zobaczyliśmy, pędziła taka wataha, chyba było to ZOMO, ale w szynelach, w takich długich płaszczach, z pałami do góry, twarze mieli jakieś takie obrzmiałe, czerwone, wydawało mi się, że oni nie są całkiem przytomni, i to pędzą prosto na nas. Ulica pusta i mnie tak trochę zamurowało. Andrzej mnie pociągnął, stanęliśmy za takim małym murkiem tuż obok i oni tak jakby tego nie zauważyli, przepędzili. Myślę, że to jest jakiś tam dowód na to, że ci ludzie byli na jakichś psychotropach, no bo to nie było naturalne zachowanie.

A uczestniczyli państwo w tej wielkiej demonstracji, która była mniej więcej między Operą Bałtycką a Politechniką Gdańską w tym sześćdziesiątym ósmym?

To tutaj była nie tyle wielka demonstracja, ile wielka bitwa. No ja pamiętam, ale po prostu byłam w tym tłumie. Jeszcze były pokopane rowy i w tych rowach były rury, i najważniejsze było, żeby się nie dać zepchnąć do tego. Mój kolega z pracowni wpadł i nogę sobie złamał, natomiast ja byłam gdzieś między przystankiem Politechniki a Teatrem, no i tylko pamiętam, że ci [atakujący], milicja próbowała z jakichś nieznanych mi powodów zdobyć ten przystanek, ale tamtędy przechodzili ludzie ze wszystkich stoczni tym przejściem podziemnym właśnie na tym, na przystanku, bo to jest taki podwyższony tamten nasyp kolejowy, tam była jakaś młodzież i waliła w tych milicjantów kamieniami, prawdopodobnie zbierali je z torów, i już niektórzy z tych milicjantów mieli po prostu obłuczony, oni chyba mieli jakieś lakierowane [hełmy], to w każdym [razie] było widać, że mają te garnki obłuczone, więc to była ostra bitwa. Ja się jakoś przez to wszystko przecisnęłam i poszłam do Andrzeja do pracy, a tam spokój, cisza, czekają na studentów

[śmiech]. To po prostu ten przebieg zdarzeń w Gdańsku pokazał, że to nie żadna bananowa młodzież, nie żadni, jakieś to było takie hasło, tam ktoś tam do biura, że to niby chodziło o to, żeby kogoś tam przywrócić do Komitetu Centralnego czy do Biura Politycznego, ale tutaj to była wojna już taka naprawdę o niepodległości, bo jakkolwiek rezolucje studenckie były takie „My właściwie popieramy socjalizm, ale...” to takie było jeszcze ostrożne, ale de facto wszystkie te żądania to już były żądania o to, że po prostu nie chcemy komuny, nie chcemy jej znać i chcemy czegoś innego, prawda? Te rezolucje studenckie podpisywali, przepisywali studenci nocą, bo to też wiem, że w akademikach tam pisali i potem rozdawali w stocznicach. Tutaj w Gdańsku to było właściwie moim zdaniem niemożliwe poróżnienie środowiska akademickiego z robotniczym, bo przecież Politechnika kształciła młodzież do pracy w przemyśle okrętowym, właściwie wszystkie wydziały, prawda? Bo nie tylko okrętowy, ale to wszystkich tych przedsiębiorstw kooperujących, elektrycznych, elektronicznych czy budowy maszyn, to wszystko byli absolwenci Politechniki Gdańskiej, których rodzice pracowali w tym przemyśle okrętowym i oni potem też szli pracować w tym, więc ten podział na studentów, inteligentów i klasę robotniczą się w Gdańsku absolutnie nie udał. Nie wiem, jak było gdzie indziej, podobno w tych przekazach się udał w Warszawie, chociaż potem jak słyszałam to tam Politechnika miała zupełnie inny, taki bardziej do naszego podobny, i strajki i te wszystkie zdarzenia, a potem jak się dowiedziałam jak IPN zaczął badać przebieg sześćdziesiątego ósmego roku to się okazało, że nawet w miejscowościach, w których nie było żadnej uczelni, na przykład w Tarnowie, no też były jakieś pochody, jakieś strajki, jakieś rozruchy, a wśród aresztowanych, zatrzymanych było bardzo dużo młodzieży robotniczej, trochę uczniów, no i oczywiście studentów też. Czyli te ciągłe próby dzielenia nie bardzo się udawały na szczęście.

Może zostawmy rok 1968, a wróćmy do państwa powrotu z Hiszpanii i tego początku zaangażowania się w taką działalność opozycyjną, bo rozumiem, że to był sierpień 1975 roku, państwo słuchają Radia Wolna Europa i tam...

Nie, siedemdziesiątego szóstego.

Szóstego?

Szóstego, to już wtedy powstał KOR. W siedemdziesiątym piątym to mieliśmy bardzo ciekawą [przygodę], to taka śmieszna historia, bo w siedemdziesiątym piątym roku myśmy pojechali do Rumunii. Tam też była komuna straszna, nie wolno było nocować w namiocie, no ale tam jakoś się udała ta wycieczka, jakoś nas nie zamknęli. Wróciliśmy do Polski i zaczęliśmy ludziom opowiadać: „Wyobrażacie sobie? W Rumunii są kartki na cukier”, no więc wszyscy się [pytali]: „Jak to, na cukier kartki?”. Nie minął chyba rok jak u nas też były kartki na cukier. To z takich rzeczy dosyć zadziwiających, jak można w Polsce było zrobić kartki na cukier, no ale w komunie wszystko jest możliwe. Natomiast w Hiszpanii myśmy byli w siedemdziesiątym szóstym.

Wracają państwo, słuchają państwo Radia Wolna Europa i tam dowiadują się o...

I dowiadujemy się o powstaniu KOR-u, piszemy list z poparciem dla KOR-u, wysyłamy te 5 000 Halinie Mikołajskiej i wie pani, tak właściwie to myśmy nie bardzo wiedzieli, jak temu KOR-owi pomóc, no bo ja sobie wyobrażałam, że może gdybyśmy mieli maszynę do pisania i ja bym umiała pisać na maszynie to byśmy coś tam mogli zrobić, no a tak tutaj inżynier - co może zrobić inżynier? Stąd był właśnie taki tylko pomysł, no ale potem jak się temu wszystkie-

mu zaczęliśmy przyglądać, no to stwierdziliśmy, że właściwie w KOR-ze są raczej humaniści, którzy nie wiedzą na przykład w jakich warunkach, w jaki sposób wyzyskiwani są ludzie pracujący w przemyśle, jak na przykład wyglądają. Takim podstawowym sposobem wyzysku to był powszechny akord, bo akord, czyli po prostu zmuszanie ludzi do jak najszybszej pracy, do bardzo dużego wysiłku, a równocześnie to była ta zasada współzawodnictwa pracy, prawda? Akord to narzucał wszystkim, i żeby jako takie zarobki osiągnąć to trzeba było przekraczać te normy i przekraczać, i akord był równocześnie przyczyną bardzo złej jakości, no bo nie da się na akord robić, prawda, przyzwoitych urządzeń, nawet chyba nogawek się nie udawało skroić, żeby były dwie równe, jak krojczy pracował na akord. Tak że to była taka jedna z... jak sobie myśleliśmy, jak powinniśmy pomóc pracującym w przemyśle to było, że trzeba będzie walczyć o zlikwidowanie akordu. Powiem pani rzecz zdumiewającą, ale konstruktorzy w biurze projektowym też pracowali na akord - był jakiś taki pan, całkiem normalny kolega, który miał za zadanie określać na przykład ile ja na arkuszu dałam, jaki jest stan zagęszczenia, ilość arkuszy z tych rysunków wyprodukowanych tam na godzinę w miesiącu, no więc to już były absurd, po prostu inżynier pracujący na akord przy projektowaniu to w ogóle jest nonsens. Czyli ten akord był rzeczywiście takim naszym docelowym przeciwnikiem, natomiast to, co rzeczywiście tak trzeba było poprawić od razu to były po prostu warunki pracy, zarówno jeśli chodzi o BHP jak o, powiedzmy, higienę pracy, bo jak chodziłam do stoczni, bo ja pracując w stoczni pracowałam równocześnie w tak zwanym nadzorze konstrukcyjnym, czyli trochę musiałam iść na statek czy pójść do hali i tam pewne rzeczy rozstrzygnąć, zobaczyć, no to przecież tam było strach pójść do toalety, a jak wyglądały te szatnie, te umywalnie, jakieś pryszniczki, to po prostu był wielki skandal. Nawet w takich sprawach, jak na przykład ubrania robocze - koledzy pracujący, powiedzmy, potem to już wszystko byli koledzy, bo to po powstaniu WZZ-ów to tak już mówiliśmy o wszystkich - to robotnicy, oni musieli po przyjeździe do pracy zamknąć swoje ubrania te cywilne w szafkach na klucz i nie mogli się tam dostać przez cały dzień, nie mieli dostępu do telefonu. Ja pracowałam w biurze, więc oczywiście tam telefonów prywatnych to tam kierownictwo zakazywało, no ale jak była jakaś potrzeba to ja mogłam zadzwonić, poza tym nawet jak mi kierownik nie dał przepustki, a ja bym na przykład miała tak ważną sprawę, że muszę wyjść, no to po prostu biorę torebkę i wychodzę. Po prostu wydaje się, że to był jakiś taki rodzaj takiego niewolnictwa. Mi się wydaje, że to do tej pory jest stosowane w zakładach produkcyjnych gdzieś w Azji, gdzie tak jak słyszałam to potrafią zamykać na przykład na noc ludzi śpiących. To niby nie jest niewolnictwo, ale prawie, jeśli człowiek nie ma wolności osobistej, prawda? No więc te rzeczy wszystkie były dla nas takim motywem do tego, że trzeba coś robić, żeby po prostu robotnicy się mogli bronić i uważaliśmy, że oni mogą się bronić sami, dlatego że w KOR-ze, tak jak mówię, głównie była inteligencja humanistyczna, może jacyś matematycy, tak? Ale skąd oni mogą wiedzieć, jak wygląda praca na hali i jakie trzeba podjąć kroki, prawda, o co zabiegać. Jeszcze powiem, że mnie się tak wydawało trochę, ale to takie moje odczucie zupełnie prywatne, że w tym takim „KOR broni robotników”, że jest trochę takie protekcyjne, że takie jest troszkę „My tu was bronimy”, a przecież oni mogą się tak samo bronić i mogą bronić też tych inteligentów z tego KOR-u, więc w ogóle mnie się wydaje, że jeśli chodzi o sprawy polityczne, sprawy patriotyczne, sprawy demokracji, to podział na jakieś klasy, zawody, jest bezsensowny, bo tutaj rozum polityczny [śmiech] można mieć niezależnie od wykształcenia ani od pochodzenia, i tak rzeczywiście jest, że nie trzeba być wielkim filozofem żeby wiedzieć, gdzie jest dobro, gdzie zło, gdzie jest niepodległość Polski, a gdzie jest zależność od Rosji, tak? Czy od Związku Radzieckiego. No i stąd myśmy od samego początku, bo tak początkowo to tutaj ta, tak nazwijmy to „opozycja na Wybrzeżu”, nie była podzielona w żaden sposób. To byli ci ludzie, którzy organizowali jakieś spotkania i się kogoś tam zapraszało, którzy się dzielili jakąś literaturą - w Gdańsku było jej niewiele,

to znaczy mam na myśli przemycane z paryskiej „Kultury” książki czy zeszyty historyczne, w Gdańsku to były wielkie rarytasy - i ta grupa, która po powstaniu KOR-u, bo uczciwie trzeba przyznać, że to KOR tak wszystkich nas ośmielił, jak się okazało, że tych ludzi nie zamknęli, no to powstały takie środowiska chyba wszędzie i zaczęły potem powstawać już organizacje, i to nasze środowisko, nazwijmy to takie czy patriotyczne czy niezależne, to była spora grupa ludzi, bo jak pamiętam, przyjechał, ktoś zaprosił pana, on się nazywał chyba Adam Wojciechowski, przedstawiciel Amnesty International, to przecież tłum ludzi przyszedł. Wszyscy staliśmy na baczność w dużym mieszkaniu państwa Kuropatwińskich, ja nie wiem, tam ze 150 osób może było, no więc taki był głód jakiejś takiej wymiany myśli, jakichś spotkań, czyli to równocześnie dobrze rokowało potem naszym pomysłem z założeniem WZZ-ów. Jakoś w międzyczasie chyba powstał, znaczy wyodrębniło się jeszcze ROPCiO - Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Nam jakoś bliżej było jednak do KOR-u, to znaczy można powiedzieć tak, że Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela opierał się na Konwencjach Helsińskich, były jakieś takie porozumienia i mówiły tam o swobodnej wymianie myśli, osób, idei, natomiast myśmy trafili, i muszę powiedzieć, że to wywołało, znaczy było ważnym elementem w całym procesie powołania WZZ-ów, myśmy kupili sobie taką książeczkę niedużą, autorem był Symonides, jakiś tam uczony, który pozbiierał wszystkie konwencje międzynarodowe, ratyfikowane w Polsce, w porowach wolności po pięćdziesiątym szóstym roku nawet Sejm to wszystko ratyfikował, czyli były absolutnie obowiązujące, i tam trafiliśmy na Konwencję ILO, czyli MOP-u, Międzynarodowa Organizacja Pracy z siedzibą w Genewie. Przeczytaliśmy tę Konwencję i stwierdziliśmy, że mamy podstawę prawną do zupełnie legalnego zakładania organizacji związkowej, bo pamiętam to na pamięć: „Pracownicy i pracodawcy bez żadnego rozróżnienia mają prawo powoływać komitety założycielskie”, no więc warunkiem było to, tośmy szybko dosyć się zorientowali, że pod warunkiem przestrzegania ich statutu, żeby nie doszło do powołania statutu, bo wtedy nas będą mieli, chwycą bardzo łatwo, tylko po prostu mamy być Komitetem Założycielskim jak najdłużej, bo nikt nie powiedział, ile Komitet Założycielski ma działać, i wtedy jesteśmy legalni. Wie pani, to tak się wydaje, ale na przykład dla ludzi to był bardzo ważny argument, że mamy prawo, prawda? Że to prawo łamie bezpieczeństwa, no to bezpieczeństwa łamie prawo, a my mamy prawo, i ja myślę, że to była jedna z decydujących rzeczy, znaczy z takich aspektów, kryteriów, że ludzie się do nas, nie powiem, że się garnęli masowo, bo wszyscy wiedzieli, co władza o nas myśli, ale po prostu lepiej się czuli, że prawo jest po ich stronie. Ja trochę chaotycznie opowiadam, wie pani, ale to mimo wszystko to wszystko było dość dawno, a poza tym nakłada się na to cała masa już późniejszych zdarzeń, ale wracając do tych początków to faktycznie było tak, że jak zatrzymywali na przykład ludzi, sympatyków WZZ-ów przy rozrzucaniu, kolportażu ulotek, to kolegia były i oskarżenia o zaśmiecanie miasta, nie o wrogą polityczną działalność, i o dziwo władza tego jakby pilnowała. Tak samo jak zaczęli zwalniać z pracy, no bo to była najbardziej skuteczna walka z Wolnymi Związkami Zawodowymi, więc wyrzucenie z pracy, no to też, bo albo się spóźniał, albo, nie wiem, coś tam, źle pracował, myśmy dlatego bardzo usilnie prosili wszystkich kolegów, żeby broń Boże nie pili alkoholu w pracy, no bo wtedy wyrzucenie jest bezapelacyjne i nawet nie wiadomo, jak się bronić, prawda? Więc to był absolutny zakaz picia alkoholu, a wyrzucenie z pracy właściwie było o tyle też skuteczne, raz, że ten wyrzucony miał na ogół wilczy bilet, to znaczy nigdzie nie mógł znaleźć zatrudnienia, dla kolegów pracujących na przykład w stoczni to często łączyło się to z utratą również kwatery, bo młodzi robotnicy nie mieli swoich mieszkań, tylko byli albo w hotelach robotniczych albo na kwaterach, i utrata kwatery, utrata zarobków, no i bardzo wielu obiecujących, dobrze rokujących działaczy po prostu jechało w swoje strony rodzinne, bo nie mogli już tu dalej w Gdańsku, prawda, mieszkać. Tak między innymi opuścił nas Andrzej Bulc, który przed samymi strajkami pojechał do Warszawy, gdzie jego żona miała rodziców i tam zamieszkali, i nawet nie wiem w tej chwili, ilu myśmy

stracili ciekawych działaczy w ten sposób, no a równocześnie wyrzucenie z pracy to kończyło działalność. Myśmy stosowali taką zasadę, że działacz musi w przypadku jakiejś krzywdy, jakiejś niesprawiedliwości, która spotyka kolegów, on musi sam tę sprawę dokładnie umieć rozstrzygnąć, obmyślić sposoby przeciwdziałania, zorganizować, napisać ulotkę, napisać jakiś list w obronie, i to spowodowało, że właściwie wszyscy nasi koledzy byli absolutnie tacy samodzielni, potrafili to wszystko zrobić, i potem bardzo to było też przydatne jak zaczęliśmy już wydawać nasze pismo, „Robotnika Wybrzeża”, bo oni byli w stanie też napisać, opowiedzieć, prawda, jakoś to przedstawić. Nie było u nas w naszej organizacji takiego podziału na, prawda, szefostwo siedzi w bunkrze, a cała reszta wykonuje rozkazy, prawda? Potem się ludzie dziwili i pytali nas: „Jak to się stało, że z WZZ-ów wyszło tylu potem działaczy politycznych?” - no bo rzeczywiście co by nie mówić to był prezydent Wałęsa [śmiech] - to już proszę mi odpuścić, że muszę go wymienić, ale przecież Andrzej Kołodziej. Kto jeszcze?

Bogdan Borusewicz.

Bogdan Borusewicz - proszę bardzo, senator. Bogdan Borusewicz to raczej był... ja bym go nie liczyła do WZZ-ów, tylko do KOR-u.

Ale Lech Kaczyński na przykład.

No, Lech Kaczyński, prawda? Też. Więc dwóch prezydentów, proszę bardzo. To oczywiście są trochę żarty, ale myślę, że to, że taka zasada samodzielności panowała, a równocześnie wszystko w kółko żeśmy omawiali, spotykaliśmy się nieustannie, każdy temat był dogłębnie przeanalizowany, wszystkie sposoby obrony zarobków, wszystkie regulaminy pracy, regulaminy płacy były omawiane. Również, to chyba Andrzej Bulc pisał o tym właśnie, jak wyglądają szatnie, jak wyglądają stołówki, czyli staraliśmy się na wszystkich frontach tę sytuację opisać, zmobilizować ludzi do domagania się i do poprawy, i nikt nie miał wątpliwości, że naszym celem jest wolna, niepodległa, suwerenna Polska, ale to, że nam o to chodzi, to wydaje mi się, że najpierw trzeba uzyskać wiarygodność. Ludzie wiedzieli, że my nie jesteśmy jakąś grupą polityczną, która mówi: „Wy nas poprzyjcie, wy nas poprzyjcie - prawda - a my tu będziemy realizować swoje jakieś cele”. Czyli to była generalnie taka organizacja, która uczyła ludzi demokracji.

Ci ludzie, członkowie, może bardziej sympatycy, bo to tylko ten Komitet Założycielski był takim ujawnionym organem. Tak, to ja na ten temat powinnam parę słów powiedzieć. Myśmy doszli do wniosku, że wiadomo będzie, że przyjdą represje. Ta konwencja MOP-u chroniła nas o tyle, o ile, ale wiadomo było, że uderzenie pójdzie na Komitet Założycielski, w związku z tym myśmy przyjęli taką zasadę, że Komitet Założycielski będzie trzyosobowy, a wszyscy inni, nie ma żadnych list członków, broń Boże, no bo lista członków to będzie lista do represji i do jakichś spraw sądowych. Czyli nie było członkostwa takiego wyraźnego, każdy mógł być sympatykiem, mógł być członkiem - czym chciał, to zależało od tego, za co się sam uważał, i ta taka luźna trochę formuła równocześnie pozwalała ludziom przyłączać się do nas, ponieważ wiedzieli, że nie muszą od razu skakać do studni, tylko wystarczy, że nam pomogą, prawda? Wystarczy, że nas poprą gdzieś, że się opowiedzą po naszej stronie, a potem się oswajali, potem się przyłączyli, potem już byli gotowi robić dużo bardziej niebezpieczne rzeczy.

[00:49:07 KONIEC NAGRANIA]